

2.

Czwartkowe, ospałe majowe popołudnie. Hubert Rajcher siedział za biurkiem w holu jednego z apartamentowców na Wybrzeżu Kościuszkowskim, naprzeciwko głównego wejścia do Centrum Nauki Kopernik. Dochodziła szesnasta, do końca zmiany pozostało mu sześć godzin. Podniósł słuchawkę służbowego telefonu już po pierwszym sygnale. Dzwonił Więcek, menedżer ds. logistycznych w kompleksie mieszkaniowym Powiśle Park. Kiedyś o takich mówiono: kierownik ds. administracyjnych. Wysłuchał, co Więcek miał do przekazania, ale nie odpowiedział od razu, co tamten wziął za wahanie albo brak zgody. Sądząc z tonu głosu, był zdenerwowany.

– Muszę wiedzieć już teraz – przynaglił. – Jeśli pan nie będzie mógł, powinienem jeszcze dzisiaj znaleźć kogoś innego.

Zadanie nie było skomplikowane. Po zakończeniu piątkowego porannego dyżuru w apartamentowcu na Wybrzeżu Kościuszkowskim, Rajcher miałby od razu wziąć popołudniowy dyżur w budynku na ulicy Topiel. Portier przypisany do tej zmiany nagle się rozchorował, więc niemal z godziny na godzinę trzeba było znaleźć zastępcę, co w sezonie urlopowym przysparzało trudności. Więcek oferował podwójną stawkę. Problem w tym, że budynek przy ulicy Topiel 11 nie należał do kompleksu Powiśle Park, a był częścią inwestycji

Piano House. Co Więcek miał wspólnego z tą lokalizacją? Dorabiał sobie na boku?

Nawet jeśli tak było, to nie moja sprawa, uznał Rajcher i postanowił więcej nad powiazaniami Więcka się nie zastanawiać. W głowie nie zapaliła mu się żadna czerwona lampka. W końcu warszawskie Powiśle to nie Kandahar. A z chwilą przejścia do cywila Rajcher przestawił myślenie na inne tory.

– Panie Rajcher, jest pan tam? Mogę na pana liczyć?

Odmówiłbyś pracodawcy, który zatrudnił cię praktycznie na gębę, bez żadnych referencji? Zwłaszcza gdy pracujesz dla niego od niespełna dwóch tygodni? Więcek już na starcie zarobił u niego plus, był bowiem jedną z niewielu osób, które od samego początku poprawnie wymawiały jego nazwisko. A z tym bywało różnie. Zwłaszcza dawniej, na misjach zagranicznych. Rajcher przywykł do tego, że wojskowi, od Amerykanów poczynając, a na Hiszpanach kończąc, kaleczyli jego nazwisko na przeróżne sposoby: Rejczler, Redźczler, Rajczler, Racher; niektórzy na wskroś poważnie zwracali się do niego „Riczer”, chociaż puszczali przy tym oko. Za to wszyscy już przy pierwszym spotkaniu skupiali uwagę na stopniach wojskowych, więc zgodnie z treścią naszywki na mundurze tytułowali go pułkownikiem. Pułkownik Hubert „Hub” Rajcher. Dla rozwiania ewentualnych wątpliwości wyjaśniał: „u” w „Hubert” wymawiane jak w „Hoover”, a w „Hub” wymawiane jak w „pub”.

Powiedział do słuchawki:

– Przepraszam, szefie, lokator odciągnął mnie na chwilę od telefonu.

– Słyszał pan, o czym mówiłem?

– Topiel jedenaście, piątek, zaczynam o czternastej.

– To nie problem? Nie będzie pan miał czasu na odpoczynek.

– Szybko regeneruję siły.

I tak oto w piątek, równo o czternastej, objął dyżur w Piano House. Elegancki, nowocześnie urządzony hol, duże okna, miękkie dywany, fotele z jasnej skóry. Standard w budynkach, gdzie za metr kwadratowy mieszkania płacisz trzydzieści tysięcy. Jasno pomalowane ściany, tu i ówdzie obrazy z motywami muzycznymi. W rogu fortepian.

Zaczął od zapoznania się z listą lokatorów. Przejrzał wykaz wewnętrznych numerów telefonów przypisanych do poszczególnych mieszkań. Upewnił się, że system monitoringu działa jak należy. Dwukrotnie obszedł hol, zanim zdał sobie sprawę, że z nawyku szuka słabych punktów, jakby miał do czynienia z wojskowym obiektem.

Praca z grubsza niczym się nie różniła od tego, co robił jako konsjerż w Powiśle Park. Stali mieszkańcy sami wchodzili do budynku na kod. Gości anonsował, kontaktując się przez numer telefonii wewnętrznej z właścicielem. Obowiązywał go zakaz wpuszczania osób z zewnątrz, których obecności lokator sobie nie życzył. Winien dbać o czystość w holu, prezentować się schludnie, odnosić się z kulturą do mieszkańców i gości oraz świadczyć wszelką możliwą pomoc. Co jeszcze? Na wzór motta policji nowojorskiej: „Służyć i chronić”, co w tłumaczeniu na język ciecia oznaczało: „Kłaniać się w pas, z uśmiechem przyjmować połajanki, pomóc zanieść ciężkie bagaże do apartamentu, a pijanego w sztok lokatora bezpiecznie dotransportować do windy”.

W Powiśle Park i w Piano House obowiązywał ten sam zestaw praw i przykazań. Jak w dawnym państwie cesarów: czy jesteś na Capri, w Kartaginie czy w Aginnum, wszędzie jest Rzym. Nie spodziewał się, że coś go zaskoczy albo zdziwi.

Nim minęło pół godziny, zauważył dwie różnice.

W apartamentowcu na ulicy Topiel przeważał język polski, a chodniki po obu stronach ulicy przemierzali nieliczni piesi. Tymczasem przez dwa tygodnie pracy w Powiśle Park przywykł do tego, że wokół rozbrzmiewają głównie angielski i ukraiński, tak jak przyzwyczał się do widoku nieprzerwanych potoków warszawiaków i turystów płynących od późnego popołudnia w stronę Wisły Wybrzeżem Kościuszkowskim, nawet w dzień powszedni. Historia się powtarza. Już tysiące lat temu życie osad skupiało się nad brzegami wielkich rzek. Podobnie w Warszawie w trzecim dziesięcioleciu XXI wieku.

W każdym razie od osiemnastej do szóstej rano, dopowiadał w myślach w drodze do służbowej kuchenki po kawę.

Życie nauczyło go nie wybrzydzać. Kawę pił pod każdą postacią: przelewową, rozpuszczalną, z ekspresu, plukkę. Była czarna, mocna i z dużą ilością cukru. Napełnił kubek dwiema porcjami kawy z ekspresu, wsypał cztery czubate łyżeczki cukru i wrócił na stanowisko za biurkiem.

Popijając kawę małymi łykami, odwlekał moment realizacji postanowienia. Wreszcie zebrał się na odwagę, wybrał na służbowej komórce znany na pamięć numer i wcisnął „połącz”. Odpowiedziała, nim zdążył policzyć do pięciu. Nie spodziewał się, że odrzuci połączenie, bo tego numeru nie znała. Mógł dzwonić konsultant z telefonii komórkowej albo namolny ankieter, ale równie dobrze mógł to być któryś z jej nowo pozyskanych klientów rynku nieruchomości.

– Słucham.

Ostrożny, wyważony, urzędowy ton. Dawno jej nie słyszał. Dzwonił, bo stęsknił się za tym głosem czy chciał rozdrapywać wciąż świeżą ranę?

– Marta, to ja.

Wyobrazził sobie wyraz twarzy byłej żony i przez chwilę był przekonany, że rozmowa ulegnie przerwaniu. Wreszcie usłyszał:

- Czego chcesz?
- Skończyłem z tamtym. Od dwóch tygodni pracuję i...
- Po to dzwonisz?
- Pomyślałem, że chciałabyś wiedzieć.
- Co mi do tego?
- Wychodzę na prostą. Chciałem się tym z kimś podzielić.
- Źle trafiłeś. Nie dzwoń więcej.
- Nie rozłączaj się, proszę! Posłuchaj. – Wziął głęboki oddech. – Przedwczoraj byłem na cmentarzu...
- Ani się waż! Nawet nie wymawiaj jej imienia! – przestrzegła lodowato, z wrogością w głosie i na granicy wybuchu.
- Nie możesz mi zabronić odwiedzać grobu własnej córki.
- Córki?! – Teraz już z trudem nad sobą panowała. – Straciłeś prawo, by tak ją nazywać!

Rozłączyła się. Powoli dopił kawę, odniósł kubek do kuchni i wrócił na miejsce.

Zegar pokazywał siedemnastą pięćdziesiąt pięć. Bezszelstnie otworzyły się drzwi windy i wyszła damulka sporo po siedemdziesiątce, w szpilkach i minispódniczce. Jeden z tych okazji spotykanych pod każdą szerokością geograficzną, które w pogoni za wieczną młodością z każdym mijającym rokiem skracają spódniczkę o kolejny centymetr. Przed nią, na cienkiej pozłacanej smyczy drobił york przystrojony czerwoną kokardką. Psiak zatrzymał się pośrodku dywanu, zgarbił się i błyskawicznie postawił kupę, ale damulka nawet nie zwołała i chwilę potem już była przy drzwiach.

– Proszę pani!

Nie raczyła się obejrzeć. Tknięty przecuciem zajrzał do windy. Klnąc pod nosem, przyniósł z pomieszczenia gospodarczego mopa i szufelkę ze zmiotką. Wylał płamę moczu w windzie, zmiotł psie odchody na szufelkę i wyszedł na zewnątrz, żeby wyrzucić zawartość do kosza przed budynkiem.

Kobieta zdążyła się oddalić. Z psiakiem na rękach, żeby nie zamoczył łapek w kałużach po świeżo spadłym deszczu, zmierziała ku włoskiej restauracji po drugiej stronie ulicy.

Wracał już, kiedy ich zobaczył. Wszyscy trzej w markowych dżinsach i adidasach, w niebieskich polówkach opinających umięśnione torsy. Każdy mniej więcej metr osiemdziesiąt dwa, wiek na oko dwadzieścia kilka lat. Szli od Browarnej całą szerokością chodnika. Zdążył kodem otworzyć sobie drzwi i był już jedną nogą w budynku, kiedy z tyłu dobiegło go:

– Panie starszy, chwilunia! Jeszcze my!

„Panie starszy”? Rajcher odwrócił się niespiesznie.